

Andrzej Szczeklik

1938–2012



Czy to wtedy, w tej ostatniej chwili,
nawiedza nas osobliwa jasność
widzenia? Jakieś dopowiedzenie
tajemnicy w momencie olśnienia?
Czy odsłania się – zakryte dotąd
– oblicze świata? I można go wchłonąć,
pojąć i wreszcie nazwać?

Andrzej Szczeklik, *Katharsis*

Andrzeja Szczeklika spotkałem dopiero w latach osiemdziesiątych. Przedtem był dla mnie, jak dla większości krakowian, po prostu legendą. Legendą znakomitego lekarza i wielkiego uczonego. Legendą człowieka-symbolu, człowieka o mocnym charakterze, który w czasie stanu wojennego nie zawahał się przed publicznym zademonstrowaniem sprzeciwu, co skończyło się usunięciem Go z władz uczelni, a niewiele brakowało nawet do całkowitego wyeliminowania z krakowskiej Akademii Medycznej. Wiem o tym dobrze, z racji mojego uczestnictwa w pracach Rady Głównej.

A pierwsze nasze spotkanie było tak zwykłe, że można je wręcz uznać za banalne. Zachorowała poważnie moja żona. Przerażony, za radą przyjaciół, zadzwoniłem z dużym skrupowaniem do Profesora. I stało się to, co spotkało wielu, i przede mną i po mnie. Znalazłem człowieka, który nie tylko pomógł, nie tylko okazał współczucie, ale przede wszystkim natchnął NADZIEJĄ. Gdy po latach przeczytałem Jego książki, zrozumiałem, że postępował po prostu zgodnie ze swoim obrazem, czy lepiej może powiedzieć, ideałem lekarza. Niby logiczne, ale jakże inne od tego, co spotykamy na co dzień.



2004



PAUeczka Akademicka, 2011

Trzeba koniecznie dodać, że ciepło, jakie emanowało z Andrzeja, było czymś autentycznym i zupełnie wyjątkowym. I myślę, że to właśnie był główny powód, dla którego ludzie tak się do Niego garnęli. Był to faktycznie ktoś, przy kim można było się ogrzać.

Po odzyskaniu wolności Andrzej został rektorem Akademii Medycznej i doprowadził do powrotu wydziałów medycznych do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mówię, że doprowadził, bo wiem dobrze od naocznych świadków, że był głównym motorem tej zmiany i że bez Jego zaangażowania nic by z tego nie wyszło.

Wielkie obciążenie pracą w klinice i w rektoracie nie przeszkodziło Mu zaangażować się czynnie w rekonstrukcję odradzającej się Polskiej Akademii Umiejętności. Andrzej – wspólnie z Profesorem Gryglewskim – przeprowadzili udaną odbudowę Wydziału Lekarskiego. A Jego entuzjizm w pierwszych – bardzo ciężkich – latach działalności PAU był niezastąpiony. Byłem więc zachwycony, gdy sześć lat temu zgodził się zostać wiceprezesem Akademii. Mogłem dzięki temu liczyć na bliską współpracę człowieka o trwałych zasadach, a równocześnie życzliwego ludziom. Sprawnego organizatora i inteligentnego rozmówcy. A przy tym wypróbowanego przyjaciela.

Zbyt długo trwałoby wyliczanie przedsięwzięć, w których Andrzej brał udział jako wiceprezes Akademii. Ale jedno po prostu musi zostać wspomniane. To jego comiesięczne spotkania z młodymi adeptami nauki i studentami, które nazwał zabawnie „PAUeczka Akademicka”. Sprawa zaczęła się od listu śp. Profesor Barbary Skargi, w którym apelowała do Akademii o zwrócenie się w kierunku ludzi młodych.

W czasie zebrania zarządu przeczytałem ten list i pamiętam, że powiedziałem: „byłoby to wspaniałe, ale gdzie znajdziemy człowieka, który podejmie się tak trudnego zadania?”. I wtedy Andrzej spokojnie oświadczył: „Ja bym się może podjął”. Byłem zdumiony: przy Jego licznych obowiązkach, jak znajdzie jeszcze dodatkową energię?

Uczestniczyłem w większości tych spotkań i mogłem obserwować, jak wspaniale Andrzej je prowadził. Jak swoją życzliwością, swoim ciepłem otaczał młodych ludzi, którzy byli nim ewidentnie zauroczeni. Jak umiał zachęcić, podtrzymać, poprawić. Była to wielka lekcja. Dla młodych, ale i dla mnie.

Dzisiejszy numer „PAUzy Akademickiej” jest próbą uchwycenia na gorąco tajemnicy tego bogatego, barwnego, zaangażowanego i – ośmielam się powiedzieć – spełnionego życia. Krótki czas i ograniczona objętość, jaką mamy do dyspozycji, nie pozwalają na pełne zobrazowanie tego fenomenu – bo to był fenomen – lecz przecież nie o to w tej chwili chodzi.

Jestem pewien, że w odpowiednim czasie powstanie o Andrzeju książki. Niemniej myślę, że tak szeroki, spontaniczny odzew zamysłu, by poświęcić Mu specjalny numer „PAUzy”, daje jakieś świadectwo Jego wielkości i naszego hołdu.

I mam nieśmiałą nadzieję, że sprawia Andrzejowi przyjemność.

Andrzej Białas

Prezes Polskiej Akademii Umiejętności

[...]

Spójrzmy na esencjalną sytuację medycyny, która odśłania istotę tego zawodu. Jest nią spotkanie dwu ludzi. Chorego z lekarzem. – Myślę, że poznajecie ten cytat z *Katharsis* – Na wołanie chorego o pomoc lekarz odpowiada zwykle nie głosem, lecz uśmiechem, gestem, mówiąc: «Stanę obok ciebie, nie opuszczę cię. Razem spojrzymy w twarz śmiertelnemu niebezpieczeństwu».

Dla nas wszystkich jest jasne, że stoimy przy trumnie wielkiego lekarza. Niewątpliwie, jednego z największych, jacy w Krakowie żyli przez ostatnie półwiecze.

[...]

Co znaczy być wielkim lekarzem? Pamiętam Profesora z roku 1984. Mój brat miał wtedy absolutorium po studiach medycznych. Śp. Profesor [Andrzej] Szczeklik miał ostatni wykład dla absolwentów, już lekarzy, i ich rodzin w Filharmonii Krakowskiej. Mówił wtedy o tym, że za ćwierć wieku ludzie ze sztucznym sercem będą mieli zakaz startowania w olimpiadach, dlatego że ci, którzy mają swoje własne, naturalne serce, nie mieliby przy nich najmniejszych szans.

Kiedy po prawie 30 latach od tamtego wykładu czyta się Jego książki, *Katharsis* czy *Kore*, to pokazuje się inna twarz Profesora, który nabrał trochę dystansu wobec tego, co wyrażał ćwierć wieku wcześniej, znając tę sytuację, kiedy nie można pomóc, kiedy lekarz jest bezradny, kiedy ręka mu się poci na klamce drzwi, za którymi leży ktoś, kogo już nie można wyleczyć. Jednocześnie, ten lekarz wie, że musi tam wejść, bo musi być obok.

Miedzy tymi dwoma obrazami Profesora nie ma sprzeczności. Myślę, że jest synteza jednego i drugie-

go, potrzebna wielkiemu lekarzowi. Jest mu potrzebny taki właśnie entuzjazm i takie oczekiwania, być może wręcz naiwne i maksymalistyczne w odniesieniu do tego, co medycyna potrafi. Ale jest potrzebne i to, żeby być przy człowieku w słabości, która lekarza już przekracza.

Profesor miał tę zdolność bycia przy ludziach w słabości. Ten kościół jest dziś pełny ludzi, ale nie jest pełny ludzi, przy których Profesor był w chwili ich sukcesu. Pewnie połowa tutaj, to są ludzie, którzy zawdzięczają Mu spotkanie się z Nim w swojej chorobie.

Albo zawdzięczają Mu spotkanie w czasach, kiedy był przy rodzącym się NZS-ie na Akademii Medycznej. Kiedy był przy studentach, którzy szli na manifestację pierwszomajową, pod prąd tej, która była oficjalna.

[...]

Profesor Andrzej był człowiekiem wierzącym, głęboko wierzącym. [...]

Sprawujmy tę Eucharystię z dziękczynieniem za wszelkie dobro, jakiego Profesor w życiu dokonał, za każdy ten moment, kiedy stał przy człowieku chorym, przy człowieku cierpiącym, przy człowieku doznającym rozmaitych ograniczeń, także wolności, w tamtych czasach, w latach osiemdziesiątych. Dziękujemy za każdy moment tego bycia przy nim.

I dziękujemy Chrystusowi w szczególny sposób za Jego śmierć i zmartwychwstanie, które nas wyzwalają od lęku przed śmiercią, które przekreślają nasz grzech, a śmierci wytrącają z rąk jej oścień, którym nas bodzie.

[...]

My tutaj dzisiaj mówimy do Profesora Andrzeja: Stanę obok ciebie, nie opuszczę cię, razem spojrzymy w twarz śmiertelnemu niebezpieczeństwu. Amen.

Ks. Bp Grzegorz Ryś

fragmenty homilii w Kościele Mariackim, 8 lutego 2012

Dzielimy dzisiaj smutek z Rodziną, z wszystkimi Bliskimi i wieloma Przyjaciółmi Profesora Andrzeja Szczeklika. Wraz z nami smućą się społeczności uczelni medycznych we Wrocławiu, Katowicach, Warszawie i Łodzi, których Profesor był doktorem honorowym. Smućą się z nami liczne towarzystwa naukowe polskie i zagraniczne, do których Andrzej Szczeklik należał. W smutku towarzyszą nam pracownicy Szpitala Uniwersyteckiego oraz rzesza pacjentów, których Profesor leczył. Żałobą objęty jest cały Uniwersytet Jagielloński.

Jest nas tak wielu, gdyż Profesorowi Andrzejowi Szczeklikowi bardzo wielu zawdzięcza bardzo wiele.

Cenił poświęcenie dla dobra chorych, w każdej dziedzinie. My oraz ci wszyscy, którzy doświadczyli Jego poświęcenia w rozwiązywaniu trudnych problemów, składamy dziś Profesorowi wyrazy uznania i najpiękniejsze podziękowania. Dziękujemy w imieniu tych, którym Profesor przy-

wracał optymizm, nadzieję i zdrowie. To są również słowa ks. Kardynała Franciszka Macharskiego, który nie może być dziś z nami.

Studenci medycyny, którzy uczą się z podręczników Profesora, z „małego” i „dużego” Szczeklika, jak mówią – powinni przeczytać również jego książki o medycynie. Myśli tam zawarte są niezbędne, aby zostać lekarzem nie tylko wykorzystującym i rozwijającym nowoczesną medycynę, ale takim, który leczy również przyjaźnią, uśmiechem i dobrym słowem. To jest droga, aby zostać uczonym i lekarzem tej miary co Andrzej Szczeklik.

Społeczność akademicka Uniwersytetu Jagiellońskiego żegna dziś swojego wielkiego Profesora. Dokonania Profesora Andrzeja Szczeklika – te w nauce i te zmieniające nas i uczelnię – nie zostaną zapomniane. Będą trwały wraz z Uniwersytetem.

Spoczywaj w pokoju Profesorze.

Karol Musioł

Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego
Kościół Mariacki, 8 lutego 2012

Profesor dr hab. nauk medycznych Andrzej Szczeklik był nie tylko wybitnym specjalistą w zakresie diagnozy i terapii chorób wewnętrznych, lecz również mistrzem w popularyzacji osiągnięć badań nad patogenezą chorób serca i płuc. Jego głęboko humanistyczne podejście do chorego człowieka świetnie ilustruje posłowie do monumentalnego wydania dwutomowego dzieła pod redakcją Andrzeja Szczeklika – *Choroby wewnętrzne* (Medycyna Praktyczna, Kraków 2005 & 2006, 2424 s.). Tam Andrzej Szczeklik pisze, że w czasach Renesansu wierzono,

... iż gwiazdy nad horyzontem, znaki zodiaku, w chwili narodzin kształtują los człowieka. Człowiek zodiakalny współbrzmiał z kosmosem. Choroba stanowiła tej harmonii naruszenie, dysonans. Zadaniem lekarza było przywrócić zerwaną harmonię, nastroić chorego do rytmów Wszechświata. Dziś raczej w genach niż w znakach zodiaku szukamy losu człowieka. Rozpoznanie i leczenie chorób wewnętrznych opieramy o sposoby zweryfikowane pod względem skuteczności w badaniach klinicznych i zalecane przez renomowane towarzystwa naukowe. A przecież, metafora człowieka zodiakalnego, która przez wieki inspirowała filozofów i lekarzy, wciąż żywo porusza naszą wyobraźnię i wciąż nas w tajemny świat sztuki lekarskiej.

Tak pisał Andrzej. To odautorskie posłowie świetnie tłumaczy, dlaczego tak często i tak wielu określa Andrzeja jako Lekarza-Humanistę.

Jedną z ciekawszych przygód naukowych, jakie przydarzyły mi się z Andrzejem, były badania nad mechanizmem „nadwrażliwości na aspirynę”, często objawiającej się napadami duszniczy oskrzelowej u wrażliwych pacjentów po zażyciu choćby niskiej dawki aspiryny (Aspirin-Sensitive Asthma, ASA). Andrzej Szczeklik – wysokiej klasy specjalista alergolog – często spotykał się w swojej praktyce lekarskiej z pacjentami cierpiącymi na ASA. Jak twierdził, kliniczna analiza wykluczała u tych pacjentów alergiczny mechanizm występowania duszności, co zachęciło mnie do podjęcia wspólnych badań nad biochemicznym wyjaśnieniem nieznanego wówczas mechanizmu pojawiania się napadów duszności po zażyciu aspiryny u pacjentów cierpiących na ASA.

Nasze wspólne badania kliniczno-laboratoryjne rozwinęły się nader pomyślnie. Wspólnie odkryliśmy i opublikowaliśmy, że mechanizm powstawania duszności po aspirynie nie ma podłoża immunologicznego (jak to ma miejsce w wypadku uczulenia na wiele innych znanych leków), lecz jest związany z biochemicznym działaniem aspiryny, polegającym na hamowaniu aktywności jednego z enzymów (cyklo-oksigenaza-1, COX-1), potrzebnego do produkcji prostaglandyny E2 (PGE2), która chroni oskrzela przed skurczem (a więc przed dusznością) wywołanym przez różnorakie patogeny. Odkryliśmy, że u pacjentów z ASA duszność wywołuje nie tylko aspiryna, lecz także inne chemicznie niespokrewnione z nią leki, jak np. indometacyna, ibuprofen, butapirazol, dla których wspólną biochemiczną cechą jest fakt, że wszystkie one – tak jak aspiryna – hamują czynność COX-1.

Andrzej Szczeklik był znakomitym klinicystą, który żywił przekonanie o potrzebie sprzęgania swoich obserwacji klinicznych z wynikami podstawowych badań medycznych. Przedwczesne odejście Andrzeja jest niepowetowaną stratą dla polskiej medycyny.

Ryszard Jerzy Gryglewski
Kraków, 23 lutego 2012

W czasie studiów wysłuchałem tylko jednego wykładu Profesora Andrzeja Szczeklika, poświęconego miażdżycy. Mówił o różnych kwasach tłuszczowych, z których te nienasycone miały chronić właśnie przed chorobą naczyń tętniczych. Jeden ze studentów zapytał: W jaki sposób, skoro one szybciej się utleniają? Profesor z uśmiechem powiedział, że mechanizm nie jest dostatecznie poznany, natomiast efekt jest potwierdzony eksperymentalnie i zależy od prostanoidów. Były to związki chemiczne o dwudziestu atomach węgla. Na biochemii omijało się ten temat szerokim łukiem. Wzory cząsteczkowe były skomplikowane, a ich znajomość nie była wymagana do zaliczenia kursu – żaden z nas nie zdecydował się zatem podjąć dalszej dyskusji z Profesorem.

Staż podyplomowy z interny zaliczyłem przy Skawińskiej. Profesor siadał na brzegu wersalki w ciasnym pokoiku lekarskim i słuchał relacji dyżurnych. Stażysta, stojąc w najlepszym przypadku w drzwiach, zza pleców starszych kolegów łowił strzępki rozmów z tego porannego obrządku. Zapamiętałem jego elegancki fartuch, zawsze z kołnierzem nazywanym stójką – zwróciłem na to uwagę pewnie dlatego, że mój, jeszcze studencki, był często wymięty.

Osiem lat później wybrałem się do Rektora Szczeklika, by finalizować zmianę pracy. Wtedy się z poprzedniej pracy zwalniałem. Szybko i sprawnie – taki był przebieg mojej pierwszej oficjalnej rozmowy z Profesorem w styczniu 1993 roku. Nie wiedziałem jeszcze, że miał fenomenalną umiejętność zapamiętywania osób. Nie chodziło tu wyłącznie o zapamiętywanie nazwisk lub rozpoznawanie twarzy. Poznane osoby lokował w swoich planach, tak jak my to robimy z przeczytaną interesującą pracą naukową. Jeśli nie miał okazji kogoś bliżej poznać, to zakładał, że ta osoba spełni jego oczekiwania. W ten sposób tłumaczę sobie, skąd dwa lata później ponownie znalazłem się na Skawińskiej 8, na zaproszenie Profesora Szczeklika, w nowo wybudowanym, ale nieco pustawym laboratorium. Ostatnie kilka lat mojej pracy u Profesora wypełniły badania właśnie tych dwudziestowęglowych skomplikowanych cząsteczek chemicznych. Prawie codziennie przychodził do laboratorium, które w międzyczasie zapełnił sprzętem, by dyskutować i mobilizować do pracy. Każdy z Jego pracowników miał okazję usłyszeć, że nie ma pośpiechu i wystarczy, by coś zrobić na jutro. Gdybyśmy wiedzieli, że jutro już nie przyjdzie...

Marek Sanak

II Katedra Chorób Wewnętrznych
Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum

Trzeciego lutego 2012 roku odszedł Profesor Andrzej Szczekliki, naukowiec i erudyta zasłużony na wielu polach, dla mnie w szczególności wspaniały szef i towarzyszy w II Katedrze Chorób Wewnętrznych.

Wychowany w rodzinie wybitnych lekarzy, pomimo talentu muzycznego wybrał drogę zawodową wytyczoną godnie przez ojca, Edwarda Szczeklika, ordynatora szpitali w Krakowie i Wrocławiu. Skończył medycynę i w tejże zaznaczył swoje miejsce jako wybitny naukowiec, autor przełomowych odkryć, z których najważniejsze – genetycznego podłoża astmy aspirynowej i zastosowania prostacykliny w chorobach układu krążenia – zostały uhonorowane międzynarodowymi nagrodami: I nagrodą czasopisma „Lancet”, honorowym członkostwem Royal College of Physicians w Londynie, nagrodą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, nagrodą C. von Pirqueta, nagrodą im. Roberta Cooha czy licznymi doktoratami honoris causa Akademii Medycznych we Wrocławiu, Krakowie, Katowicach, Łodzi i Warszawie. Był autorem ok. 650 prac naukowych drukowanych w najbardziej prestiżowych czasopismach, a w ostatnich 10 latach najczęściej cytowanym polskim naukowcem z zakresu medycyny.

Zacząłam znajomość z Profesorem jeszcze jako studentka medycyny i byłam pierwszą asystentką, którą przyjął po przeniesieniu się z Wrocławia do Krakowa. Mało jest w Polsce ludzi, którzy tak jak On znali medycynę, nie tylko tę specjalistyczną, ale i ogólną. Praca z Nim była przygodą intelektualną i niezwykłym wyróżnieniem.

Był niezwykle pracowitym człowiekiem, spędzał w klinice całe dnie. Nas, młodych pracowników naukowych, uczył medycyny, podejścia do pacjenta, empatii i tego, jak rozmawiać z chorym człowiekiem, często umierającym. Był szefem wymagającym, ale bardzo pomocnym.

Jego zainteresowanie naszymi osiągnięciami było dla nas motywacją do samodzielnego rozwoju. Miałam

zaszczyt publikować prace przygotowane wspólnie z Profesorem, także dzielić z Nim proces prowadzenia badań. Wielkiej naukowej pasji Profesora towarzyszyło przekonanie o przemijalności efektów naszego wysiłku, mądrość, że to, co dziś uważamy za pewnik, rozwój nauki niebawem wiarygodnie podważy, zastąpi mocniejszym argumentem, włoży w nawias. Człowiek tak zasłużony dla empirycznej strony nauki uczył nas zarazem, że nauka to tylko część poznania, że medycyna oparta na danych naukowych nie polega na sztywnym przestrzeganiu wytycznych i zaleceń. W decyzjach dotyczących pacjenta kazał nam kierować się nie tylko informacją naukową i sytuacją kliniczną, ale systemem wartości pacjenta, jego preferencjami oraz naszym indywidualnym doświadczeniem i umiejętnościami. Profesora Andrzeja Szczeklika nazywaliśmy wielkim humanistą nie dlatego, że napisał wybitne książki z pogranicza sztuki, filozofii i literatury pięknej, *Katharsis* i *Kore*, lecz dlatego, że humanizował, jak nikt inny, polską medycynę, postrzegając chorobę jako zerwanie harmonii z Kosmosem, a zadanie lekarza jako przywrócenie tej zerwanej harmonii i nastrojenie chorego do rytmów Wszechświata.

Dlatego też szczególnie ufali Mu i zostawali pacjentami naszej kliniki wspaniali twórcy polskiej kultury, m.in. Czesław Miłosz, Wisława Szymborska, Jerzy Turowicz, Henryk Mikołaj Górecki, zwykli pacjenci pisali do Niego listy z podziękowaniami, artyści występowali specjalnie dla Niego na corocznej uroczystości imieninowej w „Piwnicy pod Baranami”, a koledzy naukowcy z całego świata zapraszali Go z prelekcjami na najważniejsze konferencje.

Odchodząc tak niespodziewanie, pozostawił nas Profesor z niepisanym testamentem, by w pogoni za faktami naukowymi nie tracić z oczu człowieka, by lecząc ciało, nie zapomnieć o duszy.

Ewa Niżankowska-Mogilnicka

Kierownik Kliniki Pulmonologii II Katedry Chorób Wewnętrznych
Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum

Kiedy przed prawie czterdziestu laty spotkałem po raz pierwszy docenta (wówczas) Andrzeja Szczeklika, starając się o pracę w dopiero co objętej przez niego Klinice Alergologicznej w Krakowie, pytania zadawane w rozmowie medycyny dotyczyły stosunkowo mało. Pytał mnie raczej o znajomość języków, zainteresowania, literaturę. Wiele lat później sam zacząłem zadawać podobne pytania młodym adeptom sztuki lekarskiej. Przez szereg lat miałem okazję obserwować, jak w czasie egzaminów studenckich czy specjalizacyjnych Profesor Szczekliki pytał i dyskutował ze swymi rozmówcami, ciągle szukając młodych kandydatów mogących sprostać wymogom pracy naukowej i klinicznej w kierowanej przez Niego Klinice, a potem Katedrze.

Taka dbałość o stałe wyławianie talentów, budowanie kadry do realizacji najambitniejszych celów naukowych to podstawowa cecha wybitnych kierowników dużych zespołów badawczych – twórców „szkół”. I takim twórcą i Mistrzem swojej szkoły był Profesor Andrzej Szczekliki. Swoich poszukiwań nie zaprzestał nigdy. Mało tego, chciał wyjść poza ramy swej specjalności. Najlepszym przykładem jest znana w Polskiej Akademii Umiejętności Jego

inicjatywa stworzenia „PAUeczki” – regularnych spotkań grupy zdolnych studentów i doktorantów z różnych krakowskich wyższych uczelni, chcących prezentować swoje pierwsze osiągnięcia badawcze, zapoznawać się z wynikami innych, a przede wszystkim dyskutować o nich swobodnie. Niezwykłą wartością takich spotkań jest wyjście poza ramy jednego kierunku. W czasach, kiedy wąska specjalizacja w nauce czyni środowiska hermetycznymi, prezentacje i dyskusje o medycynie, sztuce, fizyce w jednej grupie ludzi i w jednym miejscu kształcą i rozwijają dyskutantów, rzutując ich zainteresowania i metody badawcze na szersze tło.

Teraz, kiedy naszą ambicją jest doganianie Europy i świata w wielu dziedzinach, a przede wszystkim w nauce, powinniśmy uczyć się od takich mistrzów jak Profesor Szczekliki, jak i jakimi metodami te cele osiągać i do ich osiągnięcia zachęcać. Pomysł „PAUeczki” to oczywiście projekcja Jego własnych, szerokich zainteresowań, czego tylko jednym z wyrazów są książki Jego autorstwa. Należy sobie życzyć, aby te działania, wybiegające daleko w przyszłość, pozostały trwałym sposobem działania w środowisku naukowym.

Jacek Musiał

Kierownik II Katedry Chorób Wewnętrznych
Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum

Andrzeja Szczeklika

sprzeciw wobec komunistycznej „wojny z narodem”

Jest sprawą niezwykle znamiennej, iż we wszystkich recenzjach, biografiach odnoszących się do śp. Prof. dr hab. Andrzeja Szczeklika natrafiamy na jednoznaczne podsumowanie, że był to znakomity lekarz – humanista o szerokich zainteresowaniach, swobodnie poruszający się zarówno w dziedzinie nauki, jak i kultury i sztuki.

Upoważniony blisko czterdziestoletnim okresem współpracy i przyjaźni z Andrzejem, chciałbym do charakterystyki Jego postaci dodać jeszcze jedno ogniwo: głęboko zakorzenione poczucie przynależności narodowej.

Można, oczywiście, dopatrywać się tu tradycji rodzinnych, wspomnień walk ojca Andrzeja o wolność i suwerenność Polski, ale patriotyzm Andrzeja wypływał z Jego osobistych pobudek, silnego przekonania, że przeciwstawianie się zawłaszczaniu kraju przez komunizm jest naszym obowiązkiem.

Pewnym probierzem postaw obywatelskich Polaków były czasy stanu wojennego. W mej pamięci zachowało się kilka obrazów, w których takie postawy Andrzeja rysują się bardzo wyraziście.

...Powstanie i wczesne idee „Solidarności” zafascynowały Andrzeja. Postanowił do niej dołączyć. Zwrócił się z tym do mnie (byłem już wówczas wiceprzewodniczącym Komisji Założycielskiej „Solidarności” Akademii Medycznej i Państwowego Szpitala Klinicznego). Wkrótce stał się jej czynnym członkiem, wybrany na drugiego wiceprzewodniczącego Komisji Zakładowej AM i PSK w latach 1980–1989.

Czym była dla Niego „Solidarność” – napisał później w pamiętniku: „Solidarność, jaką tworzyliśmy i którą żyliśmy przez dziesięć lat [...] był to jedyny w swoim rodzaju czas w naszym życiu! Czas kolejnego pokolenia Polaków walczących o niepodległość. Co do tego nikt z nas nie miał wątpliwości”.

...„Solidarność” AM planowała szereg ważnych reform w nauczaniu medycyny, zwłaszcza klinicznej, nim jednak zdążyliśmy je wprowadzić – zaskoczył nas stan wojenny, bezwzględny, nie liczący się z ofiarami życia i z zagrożeniem zdrowia obywateli.

Nigdy nie zapomnę, że 13 grudnia 1981 roku, o świcie, nie zważając na wprowadzane właśnie restrykcje stanu wojennego, zjawił się w naszym domu Andrzej, żeby upewnić się, czy nie zostałem aresztowany oraz ustalić plan naszych dalszych działań. Postanowiliśmy zwołać potajemnie Senat AM i opracować protest przeciwko stanowi wojennemu. Tak też się stało. Andrzej, wówczas prorektor Akademii Medycznej, zajął się organizowaniem „profesury”, a wspólnie podpisany tekst został wysłany do gen. Jaruzelskiego, prezydenta miasta Krakowa Gajewicza i do wiadomości władz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Stan wojenny nie został jednak przerwany, natomiast rozpoczęły się represje wobec społeczeństwa,

zwłaszcza tej jego części, która miała odwagę krytycznie odnieść się do reżimowych działań. Ile osób skorzystało wówczas z opieki Andrzeja, zawsze gotowego nieść pomoc potrzebującym, których trzeba było „przechowywać”, jako „wrogów ludu”, w kierowanej przezeń klinice...

...„Jest [niedziela] 1 maja 1983 roku – wspomina Andrzej – władza zorganizowała na Rynku krakowskim wiec poparcia dla stanu wojennego i WRON-u. Na trybunach stał już konsul radziecki i inni przedstawiciele rządu. Wybiła godzina 10 i z głośników zapowiedziano przemówienie gen. Jaruzelskiego. Tymczasem, zamiast głosu generała, rozległo się przeraźliwe krakanie wrony... Rzeszę ludzi wychodzących z kościoła Mariackiego ogarnął szal radości. Szeroką ławą ruszyliśmy w kierunku trybuny partyjnej, którą dygnitarze zaczęli w popłochu opuszczać. Nie mieliśmy żadnych zamiarów, niosła nas radość i upojenie”.

Niestety, zainstalowane kamery zarejestrowały „udział profesora Andrzeja Szczeklika w manifestacji antyrządowej”. Już kilka dni później Andrzej został odwołany ze stanowiska prorektora AM, a minister zdrowia zapowiedział: „Czeka pana proces o podburzanie do wystąpień przeciwko władzy ludowej”. Rozpoczęła się seria przesłuchań i procesów, których finał odbył się w sądzie warszawskim; nb. brałem w nim udział jako „niemy świadek” delegowany przez władze krakowskiej AM.

...Chciałbym wyraźnie podkreślić, że w tych trudnych, a niekiedy nawet dramatycznych okolicznościach – nigdy nie widziałem u Andrzeja oznak przygnębienia ani żalu z powodu zaangażowania się w wydarzenia, które mogły zaważyć na Jego karierze zawodowej. Wręcz przeciwnie, wydawało się, iż odczuwa satysfakcję z szansy przeciwstawienia się „komunie” – jak często mawiał.

...Po dwudziestu pięciu latach wspominał Andrzej w Towarzystwie Krakowskim Lekarskim: „...Był to czas próby, kiedy – w sensie nie tylko przenośnym, ale i dosłownym – czuliśmy stale na plecach oddech Służby Bezpieczeństwa. A przecież dla wielu z nas nie było wówczas ważniejszej sprawy, jak »Solidarność«. I nawet w późniejszych, coraz bardziej ponurych latach 80., gdy rządzący robili co tylko mogli, aby »zatomizować« społeczeństwo, doświadczaliśmy »jedności serc«, o której mówił do nas nasz Papież, bez którego to wszystko nie wydarzyłoby się”.

Andrzej miał w sobie niezwykle optywizm, którym dzielił się z nami, wskazując wszakże, że po zmaganiach z „komuną” będzie czekał nas bój z nami samymi o odnowę wewnętrzną. Nie tracił nadziei „...że rozstrzygniemy go pomyślnie, bo przecież w sprawie równie trudnej już nam się powiodło”.

Trzeba koniecznie przekazać ten optymizm Andrzeja Szczeklika młodszemu pokoleniom.

Zbigniew Chłap

Przewodniczący Stowarzyszenia Lekarze Nadziei

O Profesorze Andrzeju Szczekliku nie da się mówić inaczej, jak to, że swoim formatem przekraczał granice medycyny, wychodząc poza nie w każdym calu. Jego zainteresowania, Jego horyzonty sięgały znacznie głębiej i dalej, niż to, co zawarte jest w podręcznikach, z których uczą się studenci medycyny. Wiedzieliśmy o tym jako studenci Akademii Medycznej w Krakowie od pierwszych chwil, kiedy spotkaliśmy Profesora.

Do nas, założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów miał szczególną estymę. Był z nami, towarzyszył nam, wspierał nas swoim autorytetem jako jeden z założycieli akademickiej „Solidarności”. Był z nami także wtedy, gdy demonstrowaliśmy przeciwko opresyjnemu komunistycznemu reżimowi, gdy byliśmy aresztowani i zamykani do więzień. Mieliśmy w nim oparcie.

Łatwo mówi się o wolności, jeżeli się ją posiada. W owym czasie wolność była marzeniem, wokół którego koncentrowały się nasze wspólne działania. Dlatego też na uczelni, w której studiowałem, obecność Profesora Szczeklika była jednym z fundamentów całego wielkiego ruchu „Solidarności”.

Jako człowiek Profesor Szczekliki był nietuzinkowy. Rzadko zdarza się, aby ktoś, kto poświęca swoje życie tak specjalistycznemu zawodowi, jakim jest medycyna, równocześnie wykraczał poza nią tak, jak On potrafił. Jego podejście do pacjenta było czymś, co przypominało filozofię spotkania. Nie praktykuję jako lekarz od 19 lat, ale wiem, co znaczy wyjść poza horyzonty wyznaczone przez obszar nauk medycznych. Wielkość Szczeklika polega na tym, że potrafił to robić, potrafił dawać z siebie nie tylko to, czego nauczył się albo co sam zbadał i doświadczył w medycynie, ale także całe swoje ciepło i całe swoje humanistyczne podejście do człowieka. Każdy był dla niego ważny. Nie było człowieka, który miałby dla Niego mniejsze znaczenie. Dlatego był wzorcem, do którego, jeszcze za Jego życia, można było się odwoływać i odnosić. Tak na pewno myślało o nim wielu. Jestem głęboko przekonany, że to moje przeświadczenie nie jest odoosobnione.

Kontaktowaliśmy się od roku 1981, ostatni raz na jesieni ubiegłego roku, 2011. Profesor Szczekliki pozostawał niezmienny przez cały ten czas. O Jego młodości świadczyła Jego twarz. Zawsze pozostał młody.

Bogdan Klich

Senator Rzeczypospolitej Polskiej

Zebranie NSZZ „Solidarność”
Akademii Medycznej w Krakowie,
1980

Od lewej:
Janina Sokołowska-Pituchowa,
Andrzej Szczekliki,
Zofia Knychalska-Karwan,
Janusz Kutyba



Andrzeju! Profesorze! Przyjacielu!
Czarodzieju z „Hotelu snów”!

Piotr mówił o Twojej Klinice – „Hotel snów”, bo to dobre miejsce i dobre w nim sny. To, co się stało, wydaje się snem, ale snem złym. Bardzo złym. Pragnąłbym się z niego przebudzić, jednak to niemożliwe w sposób ostateczny.

Chciałbym Ci najprościej podziękować. Nie ograniczałeś się do leczenia ciała, ale potrafiłeś także uleczyć dotkniętą wątpliwością duszę. Dziękuję za niezapomniane rozmowy i za uśmiech ujmująco nieśmiały. Dziękuję Ci również jako wdzięczny pacjent.

Kochałeś sztukę. Twoje książki – *Katharsis* i *Kore* pozwalają lepiej zrozumieć świat, życie i śmierć. Kochałeś „Piwnicę”.

Dziękuję Ci za to, że w mrocznym czasie stanu wojennego nigdy nie wątpiełeś w sens walki o „Solidarność”. Walki z systemem, który był zaprzeczeniem wolności.

Swoją prawdę wypowiadałeś jasno i spokojnie, jak to śpiewamy w naszym hymnie pt. *Dezyderata*.

Przychodzimy, odchodzimy to również nasz hymn. Byłeś z nami z całego serca i pamięć o Tobie pozostanie w naszych sercach, dopóki będą bić.

Zegnaj! Wierzę głęboko, że nie na zawsze.

Leszek Wójtowicz

„Piwnica pod Baranami”

Czas mija, a wielu z nas nadal nie może uwierzyć, że nie ma już z nami Andrzeja Szczeklika, nie możemy się z tym pogodzić.

Przeglądam nekrologi – powtarzają się w nich słowa: Wielki Lekarz, Humanista, Uczony, Erudyta. Rzadziej: Mistrz, Nauczyciel, Dobry Organizator, Wychowawca. Najrzadziej: Wspaniały Człowiek, Niezwykły Człowiek. Jakim człowiekiem naprawdę był Andrzej? Czy tylko Wielkim, Wspaniałym...?

O Jego wielkości, o Jego epokowych dokonaniach zawodowych, a także o Jego niezwykłym, wyjątkowym piśmiennictwie powstanie z pewnością jeszcze wiele opracowań. Ja mogę wyłącznie podzielić się kilkoma spostrzeżeniami bardzo osobistymi, gdyż znałam obu braci Szczeklików od bardzo dawna, nawet jesteśmy jakoś tam spowinowaceni.

Wiedzieliśmy wszyscy, że Andrzej jest światowej klasy uczonym i że jest naprawdę wielki pod wieloma względami, lecz dla nas był po prostu świetnym, lubiącym się zabawić towarzyszem, nigdy nie epatującym swoimi zasługami.

Spotykaliśmy się na Jego imieninach w „Piwnicy pod Baranami”, gdzie tryskał humorem, radością, tańczył do upadłego, z flaszką koniaku podchodził do wszystkich stolików, nie zaniedbał nikogo ze swoich gości. Z wdzięcznością przyjmował kolejne numery programu przygotowanego w prezencie przez artystów „Piwnicy”. Atmosfera na tych wieczorach była fantastyczna, a tworzył ją właśnie sam Andrzej i Jego żona Marysia. Pamiętam na przykład jeden taki wyjątkowy, szampański wieczór, gdy świętowaliśmy imieniny trzech Andrzejów: Szczeklika, Wajdy i Potockiego, właściciela pałacu Pod Baranami. Dla Andrzeja te rozrywkowe chwile były ważne – jakże dumny był z tego, że miał zaszczyt tańczyć w „Piwnicy” z cesarzową Japonii, jak wdzięczny za urządzenie mu benefisu w 2003 roku w PWST: mówił, że chętnie ogląda nagranie z tej arcyzabawnej imprezy.

Spotykaliśmy się też w Kościelisku, gdzie rozmowy były o wszystkim, nawet o polityce; notabene – Andrzej miał bardzo jasne i sprecyzowane poglądy, także na to, co stało się z dziedzictwem ruchu opozycji antykomunistycznej, w którym brał czynny udział. Mówiliśmy o sztuce, o której wiele wiedział i którą był bardzo zainteresowany, odwiedzał wszystkie wystawy w naszym Muzeum – oczywiście, nigdy nie bywał na wernisażach, co charakterystyczne. O górach, które prawdziwie kochał i czuł. Miał też potrzebę – dość w jego przypadku wyjątkową – dzielenia się z innymi tą swoją pasją. A potrafił o Tatrach opowiadać pięknie i przekonująco. Nie tak dawno temu cieszył się ogromnie na swoją pierwszą podróż do Meksyku i przygotowywał się do niej – jak zwykle – bardzo solidnie. Tak wiele jeździł, po całym niemal świecie, a wciąż, niezmiennie, był go ciekaw.

Spotykaliśmy się też, przypadkowo, na koncertach. Muzyka była wielką miłością Andrzeja, a zarazem pomocą w życiu, podobnie zresztą jak góry. Bywał w salach koncertowych świata, słuchał zapewne największych wykonawców, ale, gdy tylko miał możliwość, grał sam dla siebie. Rzadziej – dla innych, lecz nie krygował się: pamiętam, jak kiedyś bez zbędnych ceregieli zgodził się zagrać dla naszego kolegi na jego urodzinach, i to na nie najlepszym pianinie. Również w ten sposób potrafił się dzielić. Znajdował czas, by się z nami spotykać, bawić, szaleć na sylwestrowych kuligach, smakować jedzenie i wino, rozmawiać.



"Wdzięcznik" (Katharsis) Płocni - 03.

A przecież zdążył dokonać tak wiele! Był bowiem Andrzej człowiekiem ogromnie pracowitym, nieoszczędzającym się, zdyscyplinowanym. Kiedy leżałam u Niego w klinice i bardzo wczesnym rankiem tęsknie patrzyłam na świat za oknem, na opustoszały po nocy parking zawsze jako pierwsza zajeżdżała toyota Profesora. A bywało, że zanim wsiadł do porannego ekspresu do Warszawy, wpadał świtem do kliniki, by sprawdzić, jak się mają bardziej zagrożeni Jego pacjenci.

Miałam okazję przekonać się, jakim człowiekiem był Andrzej nie tylko jako kolega czy przyjaciel, ale także jako lekarz. Nie mogę i nie chcę pisać tu o szczegółach, lecz Andrzej swoją decyzją po prostu uratował mi życie. A potem On i Jego pracownicy w klinice opiekowali się mną z największą troską. Wiem wprawdzie, że traktował tak wszystkich pacjentów – tych znanych i nieznanych, ale do dziś mam poczucie, że to ja byłam najważniejszym pacjentem, że to mnie poświęcał najwięcej uwagi – to był właśnie ten niezwykły dar, jaki miał Andrzej: tak umiał podejść do każdego chorego. Nie muszę dodawać, jak wielki ma to wpływ na terapię. Na czym ten dar polegał? – dam, niemal anegdotyczny, przykład. Kiedy odratowano mnie z zawału, widząc uśmiechniętego Andrzeja nad sobą, ledwie mówiąc, spytałam kiedy i jak będę mogła zapalić papierosa, już z góry przerażona tym, że mi pewnie nie pozwolą. Gdyby wówczas Andrzej ostro odpowiedział mi, że mowy nie ma, że to zabronione, pewnie by serce zareagowało w zły sposób. Ale On udał, że się namyśla, potem mnie uspokoił, mówiąc, że na razie i tak będę spać, a potem „coś się wymyśli”, bo nie chciałby, żebym paliła tutaj, na OIOM-ie, gdzie są butle z tlenem, gdyż byłoby to niebezpieczne. Usnęłam uspokojona. Wymyślił historyjkę o butlach, żeby mnie nie zdenerwować i nie zagrozić sercu! Czyż można było nie mieć poczucia, że się jest specjalnie traktowanym? *Notabene*, już nigdy potem papierosa nie zapaliłam.

A więc – jakim człowiekiem był Andrzej Szczekliki? Wie to zapewne tylko najbliższa Rodzina, gdyż przy całej towarzyskości, zyczliwości i serdeczności był Andrzej dość skryty i to, co najważniejsze, zachowywał w sobie. Dla mnie jednak, i zapewne dla wielu, był człowiekiem bardzo ważnym pod wieloma względami. I mimo że nie wiedzieliśmy o Nim wszystkiego – a o kim naprawdę wiemy? – kochaliśmy Go i nie zapomnimy.

Zofia Gołubiew

Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie

Do Andrzeja Szczeklika (list wydawcy)

Andrzeju Kochany!

Jak wiesz, coraz więcej moich autorów swoje nowe książki wydaje w konkurencyjnej, niebiańskiej oficynie. Ksiądz Józef Tischner, Ryszard Kapuściński, Czesław Miłosz, Leszek Kołakowski, Wisława Szymborska. Wielu z nich – i tylu innym – przedłużyłeś o ładnych kilka lat życie. A teraz sam do nich dołączyłeś. Co Cię podkuśiło? Czyżby tam oferowali wyższe zaliczki? Urządzali huczniejsze promocje? Pięknie wydawali książki?

W relacjach z autorami zawsze najwyżej cenilem wzajemną lojalność. Od biznesu ważniejsza była możliwość poznania nowych, ciekawych ludzi, szansa na przekształcenie tej znajomości w przyjaźń – taką jak nasza – oddanie i troska, by Wasze książki były jak najpiękniejsze, docierały do jak najszerszych kręgów czytelników, były tłumaczone na obce języki. Czemu mi to zatem robicie?

Andrzeju – nie spotkasz tam przecież grafika tak wspaniałego jak Olgierd Chmielewski, dzięki któremu Twój podręcznik *Choroby wewnętrzne*, opublikowany przez Medycynę Praktyczną, jest chyba najpiękniej wydany podręcznikiem świata, a nasze *Katharsis* i *Kore* najbardziej wypieszczonymi książkami w 50-letniej historii Znak. Ileż radości sprawiało Ci dobieranie z Olgierdem ilustracji – ręcznie wklejanych przed każdym rozdziałem bądź drukowanych sangwiną na jego zakończenie. Jak cieszyłeś się urodą tych książek, ich sukcesem, przekładami – na angielski, rosyjski, francuski, węgierski, hiszpański, niemiecki, litewski. Przecież lada moment *Kore* ukaże się w Niemczech u Herdera, w Counterpoint Press w Kalifornii, w oficynie Acantilado w Barcelonie. Powinieneś wziąć te książki do ręki. Powinniśmy oblać to – czym tylko zapragniesz (ja stawiam): Twoją ulubioną 12-letnią szkocką Balvenie albo zieloną litworówką – jak z Seamusem Heaneyem na tarasie Twego drewnianego domu w Kościele, albo schłodzonym Pinot Grigio – jak w ogródku Corleone z Twoją znakomitą tłumaczką Antonią Lloyd-Jones. Jak wolisz – może to być Old Bailey, który nauczył mnie pić z lodem mimo trzaskającego w Wilnie mrozu, od którego – jak wyznałeś – pierwszy raz w życiu rozboleła Cię zęba. Może też być Guinness, który w pubie na Achill Island piliśmy szczęśliwi z sokiem z czarnej porzeczki. Pomyśl – ile butelek zostało nam jeszcze do opróżnienia...

Dobrze pamiętam, jak pierwszy raz – zapowiedziawszy się telefonicznie – odwiedziłeś mnie w Znaku, kładąc na stole niebieską teczkę z wydrukiem *Katharsis*. Zapamiętałem swoje onieśmienie wizytą legendarnego profesora, Twoją nienaganną elegancję i zniewalający, skromny uśmiech. Podtytuł „O uzdrowicielskiej mocy natury i sztuki” wprawił w lekką konsternację część redakcji, działu handlowego i marketingu. Usłyszałem od kogoś: „Trudno, ty się u niego leczysz, prezes się u niego leczy, nie mamy wyjścia. Trzeba wypełnić ten serwitut i wydać półtora tysiąca egzemplarzy”. Przyznam szczerze, że mnie samemu nie śnił się jeszcze aż taki sukces *Katharsis* i *Kore* – wszystkim opadły szczęki, gdy najpierw jedna, a potem druga książka sprzedawały się rewelacyjnie i były stale dodrukowywane. Ich łączny nakład dobija dziś do 80 tysięcy egzemplarzy, *Katharsis* została nagrodzona przez Bibliotekę Raczyńskich (to wtedy w Poznaniu wypi-

liśmy bruderszaft), *Kore* była nominowana do Nagrody Nike, obie książki miały fantastyczne recenzje, kupowano je jako idealny prezent dla lekarzy, a wielu z nich w czasie spotkań autorskich – sam słyszałem – dziękowało Ci za to, że przywróciłeś godność ich profesji.

W czerwcu miałeś oddać nam trzecią książkę złożoną z Twoich esejów: *Nieśmiertelność*. Ten tytuł zobowiązuje. Liczę, że dotrzymasz słowa. Już przecież dobierałeś z Olgierdem reprodukcje Twoich ulubionych dzieł sztuki, już dałeś mi zdjęcie na tylną stronę okładki.

A dalsze plany... Dawno nie widziałem, żeby tak błyszczały Ci oczy, jak wtedy, gdy rozmawialiśmy o książce, która miała być Twoim największym bestsellerem – wymarzonej *Mojej prywatnej historii medycyny*. Nikt inny nie miałby prawa tak swego dzieła zatytułować.

Opowiadałeś także wielokrotnie o dziele, do którego napisania „zobowiązał” Cię Czesław Miłosz – *Ars bene moriendi*. Byłem przekonany, że jedynie Ty mógłbyś je napisać. Wystłuchałeś wielu opowieści ludzi powracających „z tamtej strony”, także samego Miłosza – choć z właściwą sobie dyskrecją nie ujawniałeś szczegółów. Teraz nigdy już ich nie poznamy.

W oczekiwaniu na te książki namówiłem Cię – po pokonaniu wielkich oporów przed mówieniem o sobie – na nagrywanie rozmowy-rzeki. Chciałem zrozumieć – ja i Twoi czytelnicy na pewno też – skąd bierze się ktoś tak niezwykły. Co? kto? jacy nauczyciele? doświadczenia? książki? – uformowały kogoś tak niepowtarzalnego? Jacy poeci, kompozytorzy, malarze, mistrzowie sprawili, że mieszkało w Tobie tyle osobowości, że porażałeś erudycją i wiedzą – znajdując jednocześnie czas na jazdę na nartach i wyprawy w góry, przewodniczenie międzynarodowym kongresom i pozyskiwanie grantów na badania naukowe, odwiedzanie bladym świtem i późnym wieczorem najcięższych chorych w Twoim „Hotelu snów”? Tak nazwał klinikę na Skawińskiej Piotr Skrzynecki, którego pomnik stoi dziś przed nią, ufundowany przez Ciebie za prywatne pieniądze z „polskiego Nobla” – Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej.

Nasza rozmowa ruszyła wartkim strumieniem, ale nie zdążyła przekształcić się w płynącą szerokim nurtem rzekę. Muszę coś z tymi Twoimi opowieściami zrobić. O łowieniu z chłopakami gołą ręką ryb w rzece w rodzinnym Pilźnie. O laboratorium w Sheffield, nieopodal „wichrowych wzgórz”, w którym z Johnem Martinem prowokowaliście zawały u biednych szczurów, żeby zobaczyć, jak można je uratować. O nocnych dyżurach na oddziale „Emergency” nowojorskiego szpitala, gdzie po raz pierwszy zszywałeś odcięte ucho pokiereszowanego czarnego narkomana. O studenckim zarobkowaniu: granitowych słupkach granicznych wynoszonych w plecaku na szczyty Tatrz z góralami, którzy urządzali Ci chrzest bojowy spirytusem. O Twoich ukochanych: Arturze Benedettim Michelangelim i Marcie Argerich... Wszyscy, którzy Cię kochali i podziwiali, powinni te opowieści poznać. Mimo że wiem, iż choćby były nie wiadomo jak fascynujące, barwne i bogate – i tak nie odsłonią Twojej Tajemnicy.

Te ostatnie tygodnie były jak zły sen. W pokoiku na piętrze w Kościele budzą mnie dźwięki fortepianu. Schodzę cicho po schodach. Nie słyszysz mnie, zatopiony w lekturze nut na pięciolinii. To chyba sonata Liszta...

Jerzy Illg

Redaktor Naczelny Wydawnictwa Znak

Magdalena Bajer [MB] – *Wiem, że Pan Profesor jest człowiekiem wierzącym.*

Andrzej Szczekliki [AS] – Tak, dzięki rodzicom, dzięki wychowaniu... A w wieku trzynastu, może czternastu lat doznałem takiego przeżycia, które utwierdziło mnie w tym, że wierzę w Pana Boga. [...] Przeżycie absolutnej pewności, że Bóg jest blisko, które miało w młodości, było tak silne i zostawiło tak trwałe ślad, że tego nic nie naruszy.

[...]

MB – *Pan Profesor, jak rozumiem, nie ma kłopotów z ewolucją.*

AS – Ja uważam, że są dwie drogi, dwa porządki poznawania świata. Jeden empiryczny – przynależę do niego, zajmując się całe życie badaniami naukowymi – a drugi transcendentalny. Myślę, że pięknie to ujął Jan Paweł II w encyklice *Fides et Ratio*, mówiąc, że duch ludzki na dwu skrzydłach unosi się do kontemplacji prawdy. Te skrzydła to rozum i wiara. One nie mogą pozostać ze sobą w sprzeczności, bo ptak, który jest metaforą ducha, nie mógłby latać. Zmarły niedawno Leszek Kołakowski mówił, że nauki empiryczne – biologia, fizyka – nie potrafią nigdy odpowiedzieć na pytanie, jaki jest sens świata. Odpowiedź na to pytanie tkwi w *sacrum*. Wyznawcy onipotencji tych nauk, niekoniecznie tylko ich przedstawiciele, zaperzają się z kolei i przeczą istnieniu *sacrum*.

MB – *Rozumiem, że Pan Profesor nie ma kłopotów z harmonijną pracą skrzydeł?*

AS – Nie. Chyba to sprawa mojej natury.

[...]

MB – *Jest Pan lekarzem, ale także badaczem materii żywej i zjawisk życia. Czy uważa Pan Boga za pierwszą przyczynę wszystkiego, co istnieje?*

AS – Powiem Pani, że mnie zdumiewa potwierdzenie tego przez... współczesną fizykę. Skoro Wszechświat w momencie Wielkiego Wybuchu był jednym punktem, z którego wszystko się rozwinęło, to i ewolucja gatunków, i powstanie człowieka należą do tego procesu. Ewolucja w biologii wpisuje się w ewolucję Wszechświata. Nasze pokrewieństwo biologiczne z prymatami nie jest w tej perspektywie niczym drastycznym. Jeżeli cały Wszechświat powstał z niczego, to ktoś to spowodował.

MB – *Gdyby się okazało, że gdzieś w rozległym Kosmosie istnieje życie, to miałoby wpływ na Pana wiarę?*

AS – Pogorszyłoby to samopoczucie wielu ludzi, nie tylko wierzących. Uważamy się za uprzywilejowanych przez Stwórcę, tych, którym dał Ziemię, by czynili ją sobie poddaną. My to odnosimy do całego Wszechświata, w przekonaniu, że i w tej skali jesteśmy jedyni. Wyobrażam sobie jednak, że takie pogorszenie samopoczucia byłoby chwilowe i wiara nasza by nie osłabła. Podziwiam wszechmoc Boga, dowiadując się o czarnych dziurach, o ciemnej materii, wybuchach gwiazd i innych niepojętych rzeczach, więc przyjąłbym to, że gdzieś daleko od nas stworzył życie – podobne albo inne od naszego ziemskiego – z pokornym (mam nadzieję) podziwem. [...]

Fragmenty rozmowy z Andrzejem Szczeklikiem [w:] Magdalena Bajer, *Jak wierzą uczeni. Rozmowy z profesorami*, Fronda, Warszawa 2010.

[...]

Andrzej Szczekliki [AS] – W moich pracach naukowych staram się przestrzegać rygorów myślenia logicznego, budowania modeli, dowodów eksperymentalnych, wnikliwych analiz statystycznych – słowem, całego *amentarium* naukowego.

Nauka wszakże to tylko jeden ze sposobów poznania rzeczywistości. Wiedział o tym Platon, którego skrzydlate metafory unosiły w dal, otwierały bramy dla rozumu zamknięte. Mitologia zaś jest dla mnie skarbnicą wątków, motywów, wzorów, które – jako tajemne tematy – pojawiają się w jawnej fabule naszego życia i odbijają się, jak echa, w otaczającej nas rzeczywistości. „Mitologia grecka – napisał Josp Brodski – jest najrozwężniejszą wizją tej tkaniny, jaką tworzy istnienie”.

Andrzej M. Kobos [AMK] – *Ananke – Przeznaczenie; jej sieć, tak obecna w Pańskiej Katharsis, jest jakby menedżerem, którego środki działania zwiększają się z postępem medycyny. Życie ludzkie wydłuża się. Mówiąc matematyczno-fizycznie, Ananke jest funkcją czasu. Czy więc lekarz lub biochemik modyfikują sieć Ananke? Zapewne przemysłał Pan to. Czy czuje się Pan modyfikatorem działania Ananke?*

AS – [śmiech]. To bardzo trudne pytanie, Panie Andrzeju, na które może odpowiedzieć tylko wyobraźnia...

Chciałbym to sobie wyobrazić tak, że sieć Ananke, która nas oplata, pozwala na pewną sferę wolności, co byłoby wszak zgodne ze spojrzeniem katolickim. Być może korzystne działanie lekarza, prowadzące do przedłużenia życia, jest wykorzystaniem obszarów wolności istniejących w obrębie tej sieci, tych przestrzeni, do których inaczej nie dotarlibyśmy, a które przez pewnej (zwiększającej się) wiedzy i umiejętności lekarza stają się dostępne, możliwe do osiągnięcia. A za nimi i tak stoi śmierć, i dopadnie nas – nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości.

AMK – *Istnieją więc różne drogi do różnych zakończeń tej sieci, a do którego zakończenia, po jakiej drodze, kiedy i gdzie, to jest do którego jej zakończenia w czasoprzestrzeni dojdziemy, to jest obszar tej wolności. I w tę trajektorię ingeruje lekarz...*

AS – Tak, właśnie tak. Ale i chory, który współpracuje z leczącym go lekarzem. Jest optymalne, jeśli razem próbują znaleźć te obszary, nazwijmy je obszarami zdrowia, a zatem wolności życia.

[...]

Fragmenty rozmowy z Andrzejem Szczeklikiem, *Lekarz wobec Ananke* [w:] Andrzej M. Kobos, *Po drogach uczonych*, t. 2, s. 289–308, Polska Akademia Umiejętności, Kraków 2007.

[...] Pojęcie *katharsis* wywodzi się zazwyczaj od Pitagorasa, ale ten termin pojawił się o wiele wcześniej, u początków sztuki greckiej – w chorei, będącej zespoleniem tańca z muzyką i poezją. Pitagorejczycy wierzyli, że dusza więziona jest w ciele za swoje winy i będzie wyzwolona, gdy się z nich oczyści. To oczyszczenie uważali za „najwznioślejszy cel człowieka” i powzięli myśl, że jest ono możliwe dzięki muzyce. Jak pisze Arystoteles: „stosowali medycynę do oczyszczania ciała, a muzykę do oczyszczania dusz”.

To Arystoteles uczynił z *katharsis* tajemniczą zagadkę, którą pozostała do dzisiaj. Chodzi o to, czy miał on na myśli oczyszczenie uczuć, czy też oczyszczenie umysłu z uczuć. Inaczej mówiąc: wysublimowanie uczuć czy ich wyładowanie, by zdobyć spokój wewnętrzny? Ich ulepszenie czy też uwolnienie się od nich? Spierano się też, czy *katharsis* wywiódł Arystoteles z medycyny czy też z kultu religijnego. Niewątpliwie medyczne źródła były mu bliższe i wymieniając *katharsis* w *Polityce*, posługuje się terminologią lekarską w jej znaczeniu technicznym, tak jak posługiwali się nią Hipokrates i jego uczniowie.

Jeśliby odbić się od starożytnej Grecji i poszybować myślą w stronę współczesnej sztuki lekarskiej, to niechybnie wyłujemy na terenie chirurgii. Podziw nasz wzbudzi wirtuozeria chirurga. A jeśli jeszcze do tego operując, słucha on muzyki, to Pitagoras jest tuż obok... Olśnienie wzbudzi w nas także Wielki Lekarz, który trafną diagnozą rozstrzygnie losy chorego, wyleczy go ze skomplikowanej choroby, która wydawała się niewycieplona.

Wielki Lekarz to rzadkość. Spotyka się ich niewielu w długim życiu zawodowym. Przywodzą na myśl ludzi obdarzonych słuchem absolutnym, którzy słyszą nuty, jak reszta z nas widzi kolory. Tak, jak każdy z nas bez wahania rozpozna kolor żółty lub czerwony, tak oni natychmiast rozpoznają dźwięk F lub G. Poruszają się swobodnie w przestrzeni tonalnej, dla innych niedostępnej.

Czas więc zapytać: Czymże jest sztuka? „Sztuka – odpowiada Julia Hartwig – jest zaklinaniem istnienia, żeby przetrwało”. Ta natchniona definicja sztuki, obejmuje też sztukę lekarską. Cały jednak kłopot z medycyną polega na tym, że ona sztuka już być nie chce. Medycyna chce by nauką. Więcej: dzisiaj mówi, iż jest nauką. I rzeczywiście – dla wyjaśnienia choroby sięga po techniki biologii molekularnej, a w terapii wypracowała specjalny model badawczy, którego nazwa mówi sama za siebie *evidence-based medicine* – medycyna oparta na dowodach.

Początków naukowości medycyny dopatrywać się można w czasach Renesansu. Wtedy to wielki anatom z Padwy, Andreas Vesalius, otworzył dla naszych oczu świat w nas zamknięty. Jego siedmiotomowe dzieło *De humani corporis fabrica* wzbudziło powszechny zachwyt wiedzą i ilustracjami anatomicznymi, które wykonali Tycjan i jego uczniowie.

Następcy Wesaliusza, całe ich pokolenia, wzmocnieniwszy oczy okularami mikroskopów, sięgali coraz dalej w głąb ciała. I szukali w jego narządach choroby. Tak zbudowano gmach anatomii – opisowej, patologicznej, sądowej – *theatrum anatomicum*, na scenie którego toczył się sąd ostateczny nad chorobą, sądem, od którego nie było odwołania. Taka była jeszcze anatomia, gdy zaczynałem studia, stanowiąc ostateczną weryfikację rozpoznania klinicznego. Ale z upływem lat, coraz szybciej ciężar końcowego rozpoznania zaczął przesunąć się gdzie indziej – w stronę biochemii i w końcu biologii molekularnej.

To dzięki biologii molekularnej wejście medycyny w nowe milenium było tak olśniewające. W pierwszych tygodniach zacinającego się tysiąclecia odczytano i ogłoszono cały zapis genetyczny człowieka. Nukleotyd za nukleotydem. Trzy miliardy liter. Ale już wcześniej w XX wieku dokonano rzeczy niebywałej – czas życia Europejczyka wydłużył się średnio z 46 lat do 70. 25 lat życia dodanych w jednym stuleciu.

A może i starość przestanie być nieunikniona? Komórki pobrane od płodu, sklonowane poza organizmem i właściwie zaprogramowane wytworzą nowe tkanki, a nawet całe narządy. Wstrzyknięte czynniki wzrostowe przestroją organizm w stan stałej odnowy. Będziemy wyłączać w embrionie gen starości, czyniąc go quasi-nieśmiertelnym. Nie wiemy jeszcze, kiedy takie techniki staną się dostępne i bezpieczne, ale są uczeni, którzy nie mają wątpliwości, że tak będzie. Chorobę i cierpienie wypieramy z naszej świadomości. Czy nieugaszona ciekawość i pasja Wesaliusza oraz jego następców, czy na trwałe wzniezione gmachy anatomii, fizjologii, mikrobiologii i farmakologii – sprawiły, że medycyna stała się nauką?

Nie – odpowiada [...] fizyk [...] Andrzej Białas. I rozwijając swój wywód przytacza słowa swojego wielkiego kolegi Ernesta Rutherforda: „Uczeni dzielą się na fizyków i zbieraczy znaczków”. Z perspektywy Rutherforda pytanie można więc sformułować: Czy medycyna ma szansę stać się kiedyś fizyką? Czyli określać ilościowo obserwowane zjawiska i dać precyzyjny, matematyczny obraz rzeczywistości. Nie znamy jednak żadnych praw o organizmie człowieka – w zdrowiu czy chorobie – które potrafilibyśmy zamknąć w równaniach matematyki. Czy lekarz próbuje zgadnąć matematyczną konstrukcję rzeczywistości fizycznej, ten pierwowzór świata, którego nie sposób wydedukować z obserwacji? Taka, powszechna w fizyce teoretycznej, zasada „identyfikacji” jest medycynie nieznana. Czyżby umiejętności lekarskie i matematyczne odpychały się, nie chciały się osiedlić pod jedną pokrywą czaszki? Raczej nie. To złożoność przedmiotu może być wytłumaczeniem.

Co ciekawe, medycyna stroi się w szaty nauki, ogłasza się nauką, podczas gdy nauki ściśle nie kryją wątpliwości co do swoich podstaw. Skuteczność logiki matematycznej zakwestionowana została przez twierdzenie Gödla. Fizycy śnią sen o teorii ostatecznej, która scaliliby dwa, nieprzystające do siebie, schizofrenicznie podzielone, rządzące się odrębnymi prawami, światy: świat mechaniki klasycznej – dokładny i geometryczny – oraz świat kwantów – niezdeterminowany i probabilistyczny.

Warto pamiętać o tym dziś, kiedy nauka przenika każdą dziedzinę życia człowieka, nie wyłączając życia duchowego. Łącznie z techniką stała się ona nową religią. Dopatrujemy się w niej źródła zarówno wyzwolenia, jak i zaspokojenia wszelkich dóbr materialnych. Z optymizmem oczekujemy od nauk medycznych wynalezienia lekarstwa przeciw śmierci. Naturalną kolejną rzeczą akceptujemy obejmowanie przez naukę obszarów moralności i etyki, a nawet jej interpretację sztuki.

Nauka nie potrafi jednak dać odpowiedzi na pytanie zacinające się od „Dlaczego?” lub „Po co?”. Może dać tylko odpowiedzi na pytania zacinające się od „Jak?”. Zanim więc zgodzimy się uznać naukę za współczesną religię, zanim jednym tchem obciążymy ją winą za nasze rozmaite bolączki i niepowodzenia, uprzytomnijmy sobie nie tylko jej potęgę, ale też granice naukowego poznania. Ich wytyczenie nie zawsze musi być proste, ale one istnieją. Za nimi trwają światy niedostępne nauce, światy wartości, sztuki, wiary, zjawisk jednostkowych, indywidualnych.

O tym, iż nauka jest tylko jednym ze sposobów poznania rzeczywistości, wiedział Platon. I gdy docierał do kręgu poznania naukowego, sięgał po poezję, by przekroczyć granicę, przed którą musiał cofnąć się rozum. Skrzydlate metafory unosiły go w dal, otwierały prawdy dla rozumu zamknięte. Skrzydlate metafory...

Lecz czymże – zapytajmy na koniec – jest prawda? „Prawda jest ruchomą armią metafor” – odpowiada Fryderyk Nietzsche. Jeśli ta prawda o prawdzie jest prawdziwa, wówczas krąg się domyka, sztuka spotyka się z nauką i lekarz znajduje swoje miejsce w tym złączeniu.

Andrzej Szczeklik

21 czerwca 2002

„Symbioza sztuki z nauką w medycynie”

Wykład po otrzymaniu doktoratu honorowego
Akademii Medycznej w Warszawie (obecnie WUM)
(fragmenty)

Szanowni Państwo,

W imieniu swoim i całej Naszej Rodziny pragnę gorąco podziękować Wszystkim za tak liczną obecność w tym okrutnie mroźnym dniu. Szczególnie wdzięczni jesteśmy całemu Duchowieństwu, Władzom Uniwersyteckim, przedstawicielom Polskiej Akademii Umiejętności, Polskiej Akademii Nauk, Dyrekcji Szpitala Uniwersyteckiego oraz jakże liczny Przyjaciołom.

Mój Ojciec był człowiekiem o wielu zainteresowaniach: od medycyny – po muzykę; od fizyki – po historię; od malarstwa – po sport. Niektóre były przelotne, inne pochłonęły Go na całe życie.

II Katedra Chorób Wewnętrznych – „Klinika” – jak ją nazywał w rozmowach z nami – była Jego prawdziwą pasją. To tam spędzał większość swojego czasu. To ona była przedmiotem Jego dumy. I nie chodzi tu wcale o sprzęt czy budynek – ale o Koleżanki i Kolegów. Pielęgniarki i lekarzy. O Zespół.

Kiedy i na Niego przyszedł czas poznać medycynę z perspektywy pacjenta, nie miał żadnych wątpliwości, w czyje ręce powierzyć swój los. Cieszył się, że opiekują się nim ludzie, do których miał pełne zaufanie. Dlatego jeszcze raz pragnę podziękować Wszystkim, którzy go leczyli i zajmowali się Nim w Jego krótkiej chorobie.

Ojciec do końca nie przestał pracować. Jeszcze na oddziale intensywnej terapii nanosił ostatnie poprawki do swojej najnowszej książki, którą zatytułował *Nieśmiertelność*. Dzięki pomocy pani Małgosi ustalał spotkania, odpowiadał na maile. Z Profesorem Markiem Sanakiem planował dalsze badania naukowe.

Zawsze uważałem Go za okaz zdrowia. Biegał, pływał, jeździł na nartach i chodził na długie wycieczki górskie. Nigdy nie udało mi się wygrać z Nim w tenisa. Kiedy we wrześniu ubiegłego roku zwiedzaliśmy razem muzea w Londynie – nie mogłem za Nim nadążyć.

Wydawało mi się, że na wszystko mamy jeszcze czas. – Myliłem się... Ale wdzięczny jestem za ten czas, który był nam dany. Zwłaszcza za te ostatnie chwile...

Jego śmierć przyszła nagle. Zmyliła nas i Jego: kiedy wydawało się, że najgorsze już chyba za nami, kiedy znowu zaczynaliśmy mieć nadzieję.

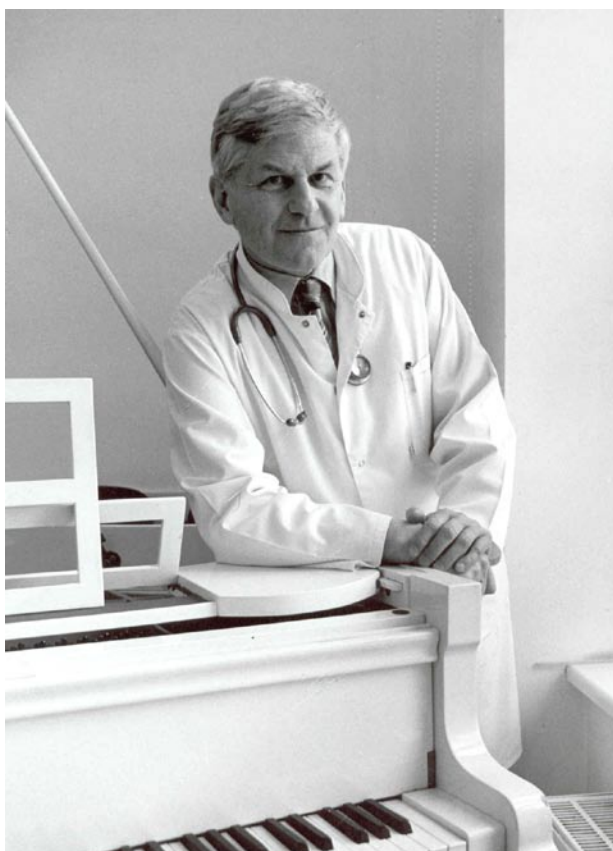
Jestem lekarzem. Ze śmiercią zmagam się często w mojej pracy. To nie przygotowało mnie na tę okrutną chwilę. Wiedza medyczna nie zmniejsza mojego bólu, nie potrafi wypełnić tej pustki, która we mnie została. Poczucie czerpię z jednego z ostatnich zdań zapisanych przez mojego Ojca:

„Z Panem Bogiem wszystko już załatwiłem”.

Dziękuję.

Michał Szczeklik

Kościół Mariacki, 8 lutego 2012



Fotografie:

Andrzej Kobos: s. 1, s. 2 (górne), s. 12 (prawe); Zbigniew Łagocki: s. 12 (lewe); Zdzisław Ryn: s. 7; Bogdan Zimowski: s. 2 (dolne).

Ilustracja do *Katharsis* – Andrzej Płoski (2003) – s. 8.

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Aleksander Koj, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Jerzy Vetulani, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzozkowski – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl